

Robert Gong

666

do mroku



Robert Gong

666
do mroku



Radom 2014

[Kup książkę](#)

Autor:

Robert Gong

Projekt okładki:

Barbara Kuropiejska-Przybyszewska

Redakcja:

Jerzy Dobrzański

Opracowanie i korekta:

Grażyna Dobromilska

Skład i łamanie:

Grażyna Dobromilska

www.madgraf.eu www.blog.madgraf.eu

© Copyright by Robert Gong, Radom 2014

© Copyright by ALFA-ZET 7, Radom 2014

ISBN 978-83-934185-8-9

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka nie może być reprodukowana ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora.

Wydawca:

ALFA-ZET 7

Małgorzata Gałuszka

26-600 Radom ul. Miła 17

e-mail: biuro@alfa-zet.pl

Rok wydania

grudzień 2014

Książka ta jest dziełem fikcji. Nazwiska, postaci, miejsca, organizacje oraz wydarzenia są wytworem wyobraźni autora bądź też pojawiają się w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do faktów, rzeczywistych organizacji, a także osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

*Z wyrazami wdzięczności
Stanisławowi Frydryckiemu*

I

Na czarnym niczym grafit niebie południowego Mazowsza niespodziewanie pojawił się dziwnie świecący niewielki obiekt. Przeszywał przestrzeń z przerażającym świstem. Radary obrony powietrznej kraju dokładnie o dwudziestej trzeciej trzydzieści na swoich monitorach wychwyciły niezidentyfikowany okrągły obiekt z ogromną szybkością zbliżający się do Ziemi. Bez trudu przeciął płat ozonowy i zamiast ulec spaleniowi w atmosferze, kierował się wprost nad Radom. Parę godzin wcześniej przed kościołem garnizonowym w samym centrum miasta zaparkował swoje audi A6 ksiądz proboszcz Maurycy Wichura. Po parunastu sekundach obiekt z potężną siłą uderzył w dach samochodu i przeszył go na wylot, zatrzymując się pod nim na jezdni. Huk obudził okolicznych mieszkańców. Z pobliskiej całodobowej apteki wybiegła przerażona młoda farmaceutka, aby sprawdzić, co się stało. Spojrzała na samochód proboszcza i pomyślała: – Znowu jakieś bandziory uszkodziły

auto księdza. Weszła ponownie do apteki i telefonicznie zawiadomiła policję.

Tymczasem czarny obiekt pod samochodem księdza pękł, jakby został równo co do milimetra przecięty lasem. Wypełził z niego niewielki wąż, łudzaco podobny do padalca. Wił się po chodniku przez paręnaście metrów, aż dotarł do najbliższej studzienki kanalizacyjnej i po chwili w niej zniknął. Po kilku minutach pod kościół podjechał na sygnale radiowóz policyjny. Czterech rosyłych funkcjonariuszy bez pośpiechu wyszło z samochodu i zaczęło oględziny auta księdza Wichury. Najstarszy stopniem położył się na chodniku i przyświecając sobie latarką, dostrzegł dziwnie świecący okrągły przedmiot wielkości piłki do koszykówki. Szybko wstał i wydał polecenie, aby żółtą taśmą z napisem policja ogrodzić miejsce upadku dziwnego przedmiotu. Przez radiotelefon połączył się z komendą.

- Dyżurny, słucham - odezwał się gruby męski głos w słuchawce.

- Arkadiusz Nowak. Przyślij mi natychmiast pod kościół garnizonowy dwa pełne busy policjantów i powiadom bezzwłocznie brygadę chemiczną z licznikiem Geigera-Müllera.

- Zrozumiałem, wykonuję, bez odbioru.

Nowak, zanim został policjantem, ukończył wcześniej Uniwersytet Warszawski z wyróżnieniem na wydziale biologii. Kiedy tylko zobaczył dziwną kulę pod samochodem, od razu zrozumiał, iż ma do czynienia z meteorytem. Ciekawe, jaki ma poziom promieniotworyczności – pomyślał. Spojrzał na zbierających się gapiów i wydał szorstkie polecenie swoim podwładnym, aby wyperswadowali ludziom gromadzenie się i kazali im natychmiast opuścić plac Konstytucji. Nagle ogarnęło go przerażenie. To nie jest zwykły meteoryt. Tej wielkości bryła musiałaby się spalić w atmosferze – pomyślał. Bojąc się napromieniowania, odszedł na róg Żeromskiego i placu Konstytucji. Czekał na przyjazd grupy wojsk chemicznych. Idealnie, niczym laserem przecięta kula, zupełnie nienaruszona, pomimo tak wielkiego uderzenia o ziemię, wprost niesamowite – kontemplował dalej.

Czekając na przyjazd posiłków, przypomniał sobie profesora Dudę, który wykładał astronomię i wciągnął go jako bardzo uzdolnionego studenta do uniwersyteckiego kółka astronomicznego. Gwałtownie szukał w pamięci tego, co wyniósł z tych zajęć, i nagle poczuł dziwny niepokój. Głęboko westchnął i pomyślał: – Dzisiaj to nie będzie rutynowa służba. W tym samym momencie usłyszał nadjeżdżające na włączonych syrenach radiowozy policyjne.

Od ulicy Rwańskiej z dużą szybkością wjechały w Żeromskiego dwa busy policyjne i specjalistyczny samochód wojsk chemicznych. Kiedy samochody zatrzymały się na rogu Żeromskiego i placu Konstytucji, Arkadiusz Nowak zrelacjonował najstarszemu stopniem wojskowemu, co zobaczył pod samochodem księdza Wichury. Wysoki pięćdziesięcioletni dowódca wydał polecenie, aby jeden z jego podwładnych założył kombinezon wraz z hełmem z szybką na twarz. Po paru minutach żołnierz był już gotowy. Pochwycił w rękę licznik Geigera-Müllera i wolno ruszył ku samochodowi księdza Wichury. Kiedy dotarł na miejsce, wsunął się pod auto i włączył urządzenie mierzące promieniowanie. Poleżał tak przez chwilę, po czym wstał, postawił licznik na murku ogradzającym kościół i zdjął hełm z głowy. Ręką kiwnął na swoich kolegów z plutonu chemicznego, uśmiechem dając im znać, iż nie stwierdził jakiegokolwiek promieniowania. Cała drużyna zrozumiała gest swojego kolegi i bez obaw ruszyła w kierunku samochodu.

Dowódca położył się na chodniku, przyświecił latarką i dokładnie obejrzał meteoryt. Wstał i wydał polecenie, aby wyjąć kulę przeciętą na pół i załadować delikatnie na samochód. Niski niespełna trzydziestoletni mężczyzna w żółtym kombinezonie założył rękawice na dłonie, wcisnął się pod samochód i wyciągnął dwie pólkule

na chodnik. Niespodziewanie zaczął krzyczeć, gdyż meteoryt nie chciał odczepić się od jego rękawic. Koledzy z grupy chemicznej pomogli mu błyskawicznie zdjąć rękawice i zobaczyli prawie sine palce mężczyzny. Dowódca złapał mężczyznę za łokcie i razem z nim rzucił się w pobliską kałużę. Dłonie żołnierza zamoczył w wodzie i przez paręnaście minut leżał na nim, unieruchamiając go masą swojego ciała.

– Dzwoncie po pogotowie – rzucił ostro, nie przestając trzymać swojego podwładnego.

Po jakiś dziesięć minutach żołnierz doszedł do siebie i wraz z dowódcą wstał z brudnej kałuży.

– Co się stało? – zapytał z troską w głosie przełożony.

– Ten meteoryt prawie zamroził mi na kość palce, z taką temperaturą nigdy się jeszcze nie spotkałem.

Dowódca potarł palcem brodę i wydał rozkaz:

– Przynieście z wozu grubą blachę, szczypcami włóżcie na nią meteoryt i jedziemy do laboratorium.

Drużyna chemiczna w pośpiechu wykonała polecenie szefa i po chwili odjechała. Na miejscu pozostał jedynie mężczyzna z odmrożonymi dłońmi, oczekujący na karetę pogotowia.

Po ponad godzinie jazdy specjalistycznym samochodem, znaleźli się w laboratorium chemicznym w Warszawie. Sala, w której zajmowano się analizą

gazów, wykopalisk archeologicznych, meteorytów i innych pokrewnych rzeczy do badań była już przygotowana. Zespół analityków z różnych dziedzin nauki ubrany w białe kitle z niecierpliwością czekał aż drużyna chemiczna położy meteoryt na metalowym stole do badań naukowych. Do sali badań wraz z całym swoim zespołem wszedł prawie siedemdziesięcioparoletni profesor Piotr Duda, wybitny specjalista w dziedzinie astronomii i mikrobiologii. Wykształcenie swoje zdobywał na Uniwersytecie Stanforda w USA, po czym przeniósł się na Harvard i kiedy w Warszawie Uniwersytet Warszawski otworzył laboratorium wcale nie odbiegające niczym od tego oxfordzkiego, przeniósł się na stałe do Polski. Od pierwszego dnia został jego niekwestionowanym szefem.

Wolno zbliżył się do stołu, na którym leżał przedmiot przypominający rozłupany na pół orzech, pusty w środku. Przez dłuższą chwilę przypatrywał mu się, aż w końcu ciepłym głosem zwrócił się do swojego asystenta, a zarazem kolegi z pracy, Juliusza Starskiego:

– Julek, sprawdź raz jeszcze licznikiem Geigera, czy aby na pewno nie występuje jakiegokolwiek promieniowanie.

Starski bez słowa sięgnął po licznik, postawił go jak najbliżej obiektu i odczytał:

– Zero promieniowania, panie profesorze.

Dziwne – zaczął się zastanawiać Duda.

Postał dłuższą chwilę i głośno powiedział do całego zespołu:

– Przedmiot kształtem przypomina piłkę do koszykówki, jednak w środku jest pusty, czyli są dwie opcje: albo coś w nim było, albo był zupełnie pusty.

W laboratorium panowała zupełna cisza, gdyż żaden z dobrze wykształconych członków zespołu nie miał zielonego pojęcia, z czym mają do czynienia.

– Julek – powiedział po dłuższej chwili zadumy – weź elektroniczny termometr i zbadajmy, jaką ten obiekt ma rzeczywistą temperaturę.

Starski wziął do ręki niewielki żółty przedmiot, wyglądem przypominającym dziecięcą zabawkę, i z odległości paru centymetrów skierował błękitny słup światła na obiekt. Na małym szklanym czytniku ukazała się liczba -273 stopnie Celsjusza.

– To niemożliwe – powiedział sam do siebie zaskoczony Starski.

– Co niemożliwe? – zapytał Duda, nie widząc czytnika.

– Ależ panie profesorze, wyświetliło -273 stopnie Celsjusza, czyli absolutne zero.

– Bzdura! – odparł mentorsko profesor Duda. – Proszę przynieść następny termometr, ale wcześniej go dokładnie przetestować, czy nie jest, jak ten, uszkodzony.

Starski dał znak wzrokiem doktorowi biologii Marcinkiewiczowi, aby wykonał natychmiast polecenie szefa. Po niespełna dziesięciu minutach Marcinkiewicz ponownie zjawił się w laboratorium z termometrem. Wręczył go profesorowi Dudzie, a ten osobiście dokonał pomiaru obiektu. Spojrzał na szklany czytnik i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na małym ekranie po raz drugi pojawiła się liczba -273 stopnie Celsjusza.

- Co jest, do cholery? - burknął głośno na całe laboratorium.

Podał Marcinkiewiczowi termometr i z zasępioną miną chaotycznie analizował w myślach, z czym może mieć do czynienia. Nie potrafiąc nic wymyślić, zdecydował:

- Dziesięć minut przerwy.

Obrócił się energicznie i pośpiesznie opuścił laboratorium. Wyszedł przed budynek, stanął obok kosza, w miejscu, w którym można było palić, i mocno podirytowany przez parę minut głęboko zaciągał się dymem ze swoich ulubionych papierosów. Cóż to jest, u licha, przecież nawet gdyby poza atmosferą ziemską ta kula miała temperaturę absolutnego zera, to po przejściu przez atmosferę powinno to się zmienić - myślał. Zgasił niedopałek papierosa i żwawym krokiem udał się ponownie do laboratorium, gdzie w milczeniu czekał już na niego cały personel.

Podszedł do Starskiego i wydał szorstkie polecenie:

– Bierzemy to cudo pod laser.

– Oczywiście – odparł Julian, widząc niewyraźną minę swojego szefa.

W rogu sali stał stacjonarny laser o bardzo dużej mocy. Wszyscy oprócz profesora złapali się za stół na kółkach, na którym leżał meteoryt i podjechali nim pod ramię lasera. Dokładnie ustawili wylot promieni lasera na jedną połówkę meteorytu i wszyscy weszli za ściankę ludząco podobną do tej, za jaką siedzi pracownik wykonujący prześwietlenia RTG.

Profesor Duda spojrzał na wszystkich i oznajmił:

– Jedną połówkę możemy poświęcić, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, z czego zbudowany jest ten meteoryt i z jakiej galaktyki pochodzi.

Wszyscy równocześnie wyrazili zgodę.

– A więc, skoro jesteśmy jednomyślni, odpalaj Julek laser na całą moc.

Starski stanął przy pulpicie obsługującym laser, po-przełączał parę przycisków i niewielką rączką, taką jak na pulpicie startującego samolotu, uruchomił laser. Ze sztywnego ramienia umieszczonego nad meteorytem zaczął płynąć jasnoniebieski strumień promienia laserowego. Po równo pięciu minutach Starski wyłączył urządzenie. Wszyscy odczekali jeszcze chwilę i wolnym

krokiem udali się za swoim szefem do stołu, gdzie leżał obiekt.

Profesor Duda jako pierwszy dotarł do stołu, spojrział z niedowierzaniem i na całe laboratorium głośno wykrzyczał:

– Cóż to, u licha jest?!

Pozostała część personelu spojrzała na meteoryt i jak jeden mąż pytająco wlepiała oczy w szefa. Na blaszanym stole nadal leżały dwie zupełnie nienaruszone połówki dziwnego obiektu, bez śladu oddziaływania na nie promieni laserowych.

Kiedy profesor Duda doszedł już trochę do siebie, ponownie zwrócił się do Starskiego:

– Julek, podaj termometr.

Ten prawie rzucił się w kierunku, gdzie znajdowało się urządzenie, tak jakby od tego zależało jego życie. Powrócił drobnym truchtem i podał profesorowi. Duda przycisnął guzik i ponownie na szklanym czytniku ukazała się liczba -273 stopnie Celsjusza.

Profesor cisnął termometrem w róg stołu, na którym leżał meteoryt, i zrezygnowany oznajmił:

– Ten kawałek kamienia jest twardszy parę tysięcy razy od diamentu i na pewno nie pochodzi z naszego Układu Słonecznego.

Współpracownicy przytaknęli twierdząco głowami i w sali zapanowała kompletna cisza. Przez dłuższą chwilę wszyscy stali wpatrzeni w czarny meteoryt, a w głowach analizowali całą swoją wiedzę na temat meteorytów i wszystkie przypadki, z jakimi mieli dotąd do czynienia. Jednak nic sensownego nie przychodziło im do głowy. Ponownie pytającym wzrokiem spojrzeli na profesora Dudę i zastygli w milczeniu.

- Trzeba o tym powiadomić Polską Akademię Nauk. Niech ściągną tutaj najlepszych specjalistów z całego świata na konsylium i dopiero wówczas jakoś się do tego zabierzemy. Totalna porażka - dodał Duda - mamy najnowocześniejszy sprzęt na świecie, bardzo dobrą kadrę, a nie możemy poradzić sobie z kawałkiem kamienia. Cóż za blamaż.

- A może by tak panie profesorze spróbować rozpuścić jedną połówkę w wodzie królewskiej - zapytał naiwnie Starski, doskonale znając odpowiedź.

- Julek, skoro laser tego nie ruszył, to tym bardziej woda królewska. Idź do biura i dzwoń do szefa PAN-u, iż mamy problem, a wszystkim na dzisiaj już bardzo dziękuję.

II

Do oszklonej dyżurki pielęgniarek oddziału odwykowego dla osób uzależnionych szpitala psychiatrycznego w podradomskich Krychnowicach po dziesięciu dniach odtrucia alkoholowego wszedł starszy, ponad siedemdziesięcioletni mężczyzna. Za biurkiem, kończąc wypisywać kartę pacjenta, siedział czterdziestoparoletni psychiatra o rzadko spotykanej milej powierzchowności i dużej kulturze osobistej. Wysoki przystojny brunet, postawny, zdecydowany, taki prawdziwy facet z dobrej reklamy telewizyjnej. Na pierwszy rzut oka powalający swym urokiem osobistym, ale przede wszystkim lekarz z powołania, odnoszący się do wszystkich ludzi bez względu na ich status społeczny z szacunkiem i prawdziwą troską. Kiedy kątem oka zobaczył mężczyznę przez swe modne drogie okulary, natychmiast uśmiechnął się i powiedział:

– Witam, pana profesorze. Czy zdrowie już dopisuje?

– Tak, bardzo panu doktorowi dziękuję. Pan to by nawet trupa do życia przywrócił.

Lekarz skwitował komplement ciepłym uśmiechem. Wręczył pacjentowi wypis ze szpitala i receptę na leki, po czym podał rękę i poważnie powiedział:

– Proszę zażywać systematycznie lekarstwa zgodnie z moim zaleceniem, a myślę, że szybko się tutaj ponownie nie zobaczymy.

Wyciągnął rękę na pożegnanie i poprosił pielęgniarkę, aby wyprowadziła pacjenta na zewnątrz oddziału.

Opuszczającym szpital pacjentem był profesor Józef Biały. Pełną piersią zaczerpnął w płuca świeżego powietrza i starczym krokiem poturczał na przystanek autobusowy, aby z peryferii Radomia dostać się do centrum miasta. Fajny z niego facet. Gdyby nie on, to na pewno dawno wachałbym już kwiatki od spodu. Tylko ta gruba strzyga, siostra Lidka... – zamyślił się przez chwilę. – Tę zołzę powinni wsadzić w rakietę i wystrzelić w kosmos, aby znęcała się nad ufoludkami, a nie nad ludźmi. Nie to, co moja kochana Bellunia. Jakby była takim monstrum jak ta Lidka, to już dawno bym pod mostem Poniatowskiego w Warszawie w domku z kartonu pomieszkiwał. Nie ma to jak w domu dobra, poczciwa kobieta – pomyślał z ciepłym uśmiechem na twarzy, przywołując w pamięci swoją ukochaną od prawie dwudziestu lat Bellę.

Zajadę sobie teraz spokojnie do domu, buziaka dostanę. Cieplutki obiadek zjem, a potem hyc do świeżutkiej pościeli z moją Bellunią. Recepty od lekarza w aptecce po drodze wykupię, czerwoną różyczkę w kwiaciarni mojej kruszynce kupię i przed siebie. Właśnie dziś zaczynam drugą młodość. A ta Baba Jaga Lidka przyjdzie do pustego domu, bo ją chłop trzy lata temu dla młodszej zostawił, włączy telewizor i będzie wzdychać do tych głupich babskich seriali. Później jadowita kobra przytuli się do poduszki i pół nocy będzie pomstować na facetów. A rano ponownie przyjedzie do pracy i jak co dzień będzie warczeć jak wściekły pies na swoich pacjentów. I tak wkoło. Ciekawe, co komu się wpierw znudzi: mnie wódka czy jej wieczne szlochanie nocami w pustym łóżku?

Pokiwał głową na boki i z miną godną Sokratesa pomyślał: – Wprawdzie moja wypalona wódka już pusta dusza potrzebuje co jakiś czas wsparcia od przemysłu spirytusowego, ale później powraca do normy i jakoś żyję. A ona, choć na co dzień przy tym pracuje, nawet nie wie, jak w ciężkich sytuacjach życiowych jest zbawienny ten płyn „greckich bogów”, jak ważny dla równowagi psychicznej smakosza. Zresztą niech gardzi wódką i takimi jak ja, ale ja mam przynajmniej do kogo wrócić. Ona nawet nie ma pojęcia, jak to „lekarstwo” bardzo pomaga.

Zaśmiał się wesoło, wchodząc do starej rozklekotanej „siedemnastki”, autobusu podmiejskiego. Nigdy nie lubił powrotów tym autobusem do centrum, gdyż szpital znajdował się na samych obrzeżach miasta i pokonanie kilku kilometrów takim wehikułem zajmowało mu około czterdziestu minut. Podszedł do kasownika, skasował bilet i usiadł na tylnym siedzeniu autobusu tuż przy oknie. Myśl o siostrze Lidce nadal nie dawała mu spokoju. Nigdy go nie lubiła i zawsze dawała mu najgorszą pizamę i pościel, która już nawet nie nadawałaby się na ścierkę do mycia korytarza. A kiedy nie mógł zasnąć i prosił ją o jakiś proszek nasenny, to mu wiecznie powtarzała:

– Trzeba było tyle nie chlać, a nie teraz rozczulać się nad sobą – i wulgarnym słowem wyganiała go do łóżka.

Ona jak nic jest zakochana w tym moim doktorku – pomyślał. – Tylko, gdzie by taki facet, co to go wszystkie baby wzrokiem rozbierają, chciał z takim warczącym „buldogiem” pójść do łóżka. Pewnie to on taki święty to w ogóle nie jest. Myślę, że jak wyjeżdża na te swoje sympozja naukowe, to u jakiejś młodej apetycznej pani doktor z dużą „piątką”, zrobioną na blond, na pewno od czasu do czasu coś tam „zamoczy”. Chyba że ta jego żonka, widząc jaki ma okaz w domu, powyrzucała z niego wszystkie lustra i facet nie ma pojęcia, jak wygląda. Zresztą ze mną też nie było inaczej. Do kiedy robiłem

profesurę w Rzymie z teologii i pracowałem w bibliotece watykańskiej, trzymałem się z daleka od bab, jak pies od zdechłego kota. Z alkoholu piłem wówczas jedynie wino mszalne. Wszystko było jak w najlepszej bajce. Dopóki nie dali mi do pomocy tej Jenny z Brazylii. Dwa miesiące koło mnie się kręciła, wypinała ten swój apetyczny tyłek, te jej wielkie cycki wylewały się spod biustonosza, aż w trzecim miesiącu, do dziś nie wiem, kiedy i jak, sprawdziła co tam wartościowego trzymam w kalesonach. Później ta Hiszpanka Carina, potem ta seksbomba Włoszka Sofia, a dalej to już samo poszło.

Pamiętam że apogeum mojej tragedii w bibliotece nastąpiło, jak skrzyżowały się nasze drogi z tym klucznikiem Mario, co to otwierał i zamykał Święte Księgi. Zanim się zorientowałem, to już tylko po roku, ażeby jakoś trochę normalnie funkcjonować, musiałem wypić co najmniej butelkę wódki. I tak, co najlepsze w moim życiu, wszystko się skończyło. Bardzo krótka audyencja u papieża, noga-dupa-drzwi i wywalili nas w końcu obu na bruk. Na Harvardzie wprawdzie też zrobiłem profesurę, tyle że z fizyki, ale cóż z tego, jak po pijaku studentom opowiadałem takie rzeczy, że Amerykanie, słysząc to, co mówiłem, myśleli, że opowiadam im najnowszy scenariusz filmu hollywoodzkiego, więc wsadzili mnie w trybie super ekspresowym w samolot i deportowali

do Polski. A tutaj od prawie dwudziestu lat przygarnęła mnie moja Bellunia i nie muszę szukać już dalej swego „Pacanowa”. Wcześniej, do których drzwi bym nie zapukał, to po paru minutach i tak dupa zawsze została z tyłu. Oprócz mojej kochanej Belli, nikt ze mną nie chce nawet poważnie porozmawiać, bo uważają mnie za kompletnego wariata.

Po półgodzinnych rozważaniach na temat gorzkiej okraszonej seksualno-alkoholowymi przysmakami przeszłości, wysiadł z autobusu niedaleko „Galerii Słonecznej”. Krokiem zmęczonego starego człowieka wolno zaczął zmierzać do swoich udręczonych codziennym piciem, będących na krawędzi życia, kolegów od butelki. Szedł w kierunku Starego Miasta, przeszedł obok byłego więzienia, tuż koło kościoła. Wszedł w ulicę Rwańską, potem skręcił w Szewską i po paruset metrach znalazł się w tak zwanym „małym gaju”, gdzie pod dużym liściastym drzewem na wykonanej własnoręcznie ławeczce ze starych spróchniałych desek położonych na dwóch nadgryzionych zębem czasu pustakach jak co dzień siedzieli Cienki Lolo i Komisarz Żubr. Lola od lat nazywali Cienkim, gdyż miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a w najchłodniejszą zimę stulecia ubrany na cebulkę, ważył niespełna pięćdziesiąt kilogramów. Zaś Żubra przezywali Komisarzem, dlatego

że w przeszłości, jeszcze za komuny, był kapralem milicji i podczas pewnej interwencji domowej wraz z kolegą, widząc, iż gospodarz domu jest zupełnie pijany, zwinęli mu radziecki telewizor kolorowy marki „Rubin”.

– Komisarz, patrz, kto idzie – powiedział głośno Lolo, wskazując ręką na idącego w ich kierunku kolegę.

– Co cię już wypuścili? – rzucił wesoło Żubr.

Profesor nic nie odpowiedział, usiadł obok nich na ławeczce i cicho zagaił:

– Nie ma jak na świeżym powietrzu, bo tam kompletnie można zwariować.

– To nie wzięli cię tym razem na psychiatryk?

Profesor pokiwał przecząco głową i od niechcenia powiedział:

– Widocznie nie było ze mną tak źle, to mnie wypuścili.

Przed ławeczką na prowizorycznym stoliku nakrytym gazetą stały dwie plastikowe butelki po wodzie mineralnej, wypełnione po brzegi białym płynem, a obok nich na papierowej tacce leżała świeża makrela i cztery nie pierwszej świeżości bułki.

– Ale ci się profesor trafiło – powiedział bardzo dumny ze swojego wyczynu Lolo.

– Co takiego? – odparł zmęczony profesor.

- Matula rano dostała emeryturę i dała mi trochę grosza, abym sobie kupił nowe buty i nie chodził jak ostatni dziad.

- I kupiłeś? - naiwnie zapytał profesor.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem i wskazali na leżącą na ziemi gazetę.

- Oczywiście, właśnie stoją przed tobą. Obydwa po zero siedemdziesiąt pięć litra. Plus bułki i makrela - dodał dumnie Komisarz.

- A co to za wynalazek? - zapytał zaciekawiony tak dużym zapasem płynu profesor.

- Żaden wynalazek tylko czyściutki spirytus ze sklepu - oburzył się Lolo.

- A jakąś popitkę to chociaż macie, czy tak tylko pod tę padlinę? - wskazał na leżącą na tacce rybę. Komisarz sięgnął za ławkę i obok gazety postawił dobrze schłodzoną wodę mineralną.

- No teraz to już coś - skomentował z ulgą profesor.

Lolo spojrzał na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Dwudziesty piąty sierpnia był jak na tę porę roku dniem wybitnie ciepłym. Mężczyźni wymownie spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się na widok rozcieńczonego spirytusu i Komisarz jak gospodarz starego, dobrego lokalu gastronomicznego powiedział:

- No to co, Lolo, częstuj gości, bo procenty uciekają.

Komisarz podał koledze nie pierwszej czystości szklanę i w szampańskich humorach zaczęli plenerować biesiadę. Toastom, wspomnieniom i kategorycznym stwierdzeniom, czego to w życiu jeszcze nie osiągną i jakich czynów nie dokonają nie było końca. Jednak spotkanie zdominował wątek damsko-męski. Lolo, choć dobrze już po sześćdziesiątce, cały czas żył latami, kiedy to miał dwadzieścia lat i jako młody, przystojny chłopak był wprost rozchwytywany przez miejscowe dziewczęta.

Komisarz z dumą zdobywcy Berlina w 1945 roku, który jako pierwszy zatknął białą-czerwoną flagę na bramie Reichstagu, opowiadał, jak to wszystkie najładniejsze panny z urzędu miejskiego dosłownie błagały go, aby się z nimi umówił.

Profesor z politowaniem pokiwał głową i z ironią powiedział:

– Ty Lolo, jakbyś poszedł z jakąś kobitką do łóżka, to jakby na ciebie spojrzała, to momentalnie ewakuowałyby się wraz z całym oknem z dziesiątego piętra. Ha, ha, ha.

– A niby to dlaczego? – odgryzł się ostro Lolo.

– Bo jesteś tak chudy, że pomyślałaby, że kościotrup, taka pomoc naukowa dla studentów, uciekł z akademii medycznej, że się ubrał i przyszedł do niej jako straszliwy demon.

Komisarz zaniósł się pijackim śmiechem i tylko krótko rzucił:

- Dobrze profesor. Dobrze. Ty to zawsze masz poczucie humoru.

- Ale ty Komisarz też nie susz tego ostatniego zęba.

- A to niby dlaczego? – odparł nie mniej zdziwiony.

- No to spójrz na siebie.

- Chyba się teraz czepiasz profesor – oznajmił, przęając zanikające muskuły.

Profesor obejrzał Komisarza z każdej strony, wymownie chrząknął i zabawnym tonem powiedział:

- Przecież ty masz od tego piwka tak wielki brzuch, jak polewaczka miejska, to co ty możesz jeszcze spod niego wyciągnąć?

Żubr poczerwieniał ze złości i wykrzyczał mu w twarz:

- A ty profesor jak idziesz, to cię słychać z pięciu kilometrów, bo ci kości ze starości tak skrzypią, jak nienasmarowane koła od dziewiętnastowiecznego parowozu.

Atmosfera biesiady po tych pijackich żartach robiła się coraz mniej miła. Profesor dopił ostatnią szklaneczkę czarodziejskiego płynu, wstał, podziękował za gościnę i podając rękę swoim przyjaciółom, ruszył Szewską ku aptece. Skręcił w Rwańską, przeszedł przez skrzyżowanie i znalazł się na ulicy Żeromskiego.

Rozglądając się na boki po witrynach sklepów, zmierział na plac Konstytucji do całodobowej apteki. Skręcił w prawo i po parunastu minutach, tuż przed godziną dwudziestą, wszedł do środka. Podał farmaceutce w średnim wieku receptę, zapłacił i wyszedł. Przystanął przed budynkiem, aby do kieszeni spodni schować resztę pieniędzy zaś do wewnętrznej kieszeni kurtki lekarstwa.

Mimowolnie spojrział na studzienkę kanalizacyjną, z której poprzez mały otwór służący do otwierania włazu wypełzła może piętnastocentymetrowa żmija. Profesor rzucił na nią okiem i dojrzał, iż żmija gwałtownie się powiększa. Kiedy osiągnęła jakieś dwa metry, nagle zaczęła przemieniać się w potężnego, czarnego jak sadza byka, który po chwili, stojąc na dwóch tylnych nogach, zmienił się w pięciometrowego stwora łudzaco przypominającego tyranozaura. Na piersi miał wrośnięty duży odwrócony czerwony krzyż, podobny do tego, jaki noszą sataniści.

W pierwszej chwili strach obezwładnił ciało profesora, jednak nauczony wieloletnim doświadczeniem za moment był już zupełnie pewien, iż nowe leki przepisane mu przez jego ulubionego psychiatrę pomieszał ze spirytusem i właśnie doznał pierwszych symptomów delirium tremens. Potwór stał jakiś metr od niego. Profesor wyciągnął rękę, chcąc go pogłaskać, gdyż był pewien, iż to halucynacje, jednak tamten się cofnął.

Na placu Konstytucji było zupełnie pusto, tylko od ulicy Piłsudskiego słyszał było idącą w jego kierunku dużą grupkę młodzieży zmierzającą na okoliczną dyskotekę. Kiedy rozbawiona dwudziestoparookobowa grupa młodych ludzi znalazła się jakieś pięć metrów od profesora, jeden z chłopców wesoło rzucił:

– Patrzenie, jaką fajną reklamę tu postavili.

Monstrum w tym momencie wydało z siebie dźwięk, jakiego profesor nigdy nie słyszał. Otworzyło swą ohydłą paszczę i wypuściło z siebie ciemnognatowy gaz, który niczym maszyna do rozdrabniania mięsa wraz kośćmi na parówki zamienił ciała niedoszłych imprezowiczów w poszatkowane krwiste błoto i oblepił nim kopułę starej cerkwi prawosławnej od strony apteki. W tej samej chwili drzewa, liście i trawa zamieniły się w maź przypominającą smołę, a ptaki przesiadujące na drzewach pospadały i zaległy niczym nieżywe eksponaty muzealne.

Profesor rękawem kurtki przetarł czoło z potu i powiedział do potwora:

– Wiesz co, ty sobie tu stój, bo ja muszę iść na pociąg do swojej Belluni.

Raz jeszcze chciał go pogłaskać, jednak ten ponownie się odsunął. Pomachał mu więc na pożegnanie ręką i poszedł w stronę dworca.

Niepotrzebnie dałem czadu dzisiaj z tym spirytusem. Takich omamów to już dawno nie miałem – pomyślał. Wszedł na ulicę Piłsudskiego i zobaczył, że wszędzie nad nim i wkoło niego unosi się ciemnogrnatowa poświata. Przeszedł jakieś sto metrów i zobaczył leżących na tro-tuarze ludzi, którym z uszu wylewała się przeźroczy-sta ciecz łudzaco podobna do gliceryny. Skręcił w lewo w Traugutta i idąc lewą stroną, podszedł pod komisa-riat policji. Dwóch mężczyzn w mundurach siedziało w oznakowanym radiowozie bez oznak życia, z głowami opartymi o szybę. Im również z uszu wylewała się prze-źroczysta ciecz. Drzewa i trawa, podobnie jak na placu Konstytucji, przypominały smołę. Zszedł w dół i z daleka zobaczył budynek dworca PKP. Po drodze napotykał le-żących martwych ludzi, osmolone drzewa i trawę. Kiedy znalazł się wewnątrz holu dworcowego, zobaczył dzie-śiątki trupów.

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej pieniądze i policzył. Może wystarczy mi do szpitala w Krychnowicach – po-mysłał i skierował się ku postojowi taksówek. Podchodził do każdej z nich i widział ten sam obraz, co poprzednio. Martwi ludzie i ta dziwna ciecz wypływająca z uszu. Koszmar. Rozejrzał się uważnie dookoła i na stacji ben-zynowej obok leżącego martwego chłopaka zobaczył sku-ter. Na pewno kompletnie od tej wody już zwariowałem

albo ten mój doktorek dał mi te nowe leki, nie sprawdzając, jak one na mnie zadziałają. Spojrzał raz jeszcze na skuter i pod nosem do siebie powiedział:

- Niech się dzieje, co chce, biorę ten skuter i byle jak najszybciej do mojej ukochanej Belluni pod Grójec.

Niegdyś, będąc jeszcze w Ameryce, miał prawo jazdy, więc wprawnie odpalił motorynkę i wzdłuż torów bocznymi drogami pognał do swojej kobiety, aby mu pomogła. Wszystko nadal było osmolone, a powietrze wypełniała granatowa szadź. Kiedy zobaczył tablicę informacyjną z napisem „powiat grójecki”, nagle wszystko się zmieniło. Zauważył, że na drzewach wisały zielone liście, trawa miała normalny kolor, a i ludzie chodzili jak zawsze. Nigdzie nie widział leżących ptaków ani zwierząt, tak jakby znalazł się w kinie, tylko że na zupełnie innym seansie filmowym, z gatunku melodramatu miłosnego. Trochę zwolnił, opuściło go potworne napięcie. No chyba w końcu mi przechodzi, ale i tak jutro z Bellunią pojadę do lekarza, bo takich halucynacji to jeszcze w życiu nie miałem – przyrzekł sobie.

Wolno dojechał do przedmieścia Grójca, skręcił w prawo i zobaczył mały, drewniany domek swojej ukochanej. W kuchennym oknie paliło się światło. Dobrze, że jeszcze nie śpi – pomyślał i w chwilę później zaparkował

skuter pod domem. Zrobił parę kroków wydeptaną dróżką i jak oszalały zaczął pięściami walić w drzwi.

Bella otworzyła drzwi i wrzasnęła:

- Czego tak się tłuczysz?

- Kochanie, ratuj - rzucił jej od wejścia i wbiegł do kuchni.

Usiadł na stołku przy stole, a po chwili weszła Bella i mocno zdziwiona zapytała:

- Co cię tak przeraziło i skąd masz ten skuter?

Profesor opuścił tylko głowę i nic nie odpowiedział. Jednak, kiedy po dłuższej chwili doszedł do siebie, bardzo chaotycznie zdał relację swojej ukochanej z tego, co widział, i poprosił ją, aby jutro ponownie zawiozła go do szpitala.

Na jej kobiecy umysł wszystko wydawało się zupełnie proste: był za krótko na odtruciu, następnie wziął leki, a na koniec zalał mordę spirytusem i ponownie ma delirkę. A że przez dwadzieścia lat życia z nim dobrze poznała tę chorobę, sięgnęła do białego, starodawnego kredensu jeszcze po swojej babci, wyjęła z niego pół litra wódki, nalala mu całą szklankę i oznajmiła:

- Dzisiaj dostaniesz, a żeby ci minęło, ale jutro z samego rana jedziemy do lekarza i nie wyjdiesz ze szpitala, aż cię całkiem nie wyleczą.

- Dobrze, kochanie - cicho wyszeptał i duszkiem wypił całą zawartość szklanki.

Bella usiadła naprzeciwko niego i uważnie mu się przyglądała.

- Lepiej trochę? - zapytała po chwili.

- Lepiej, ale jeżeli możesz, to daj mi jeszcze jedną - bardzo grzecznie poprosił profesor.

Kobieta wlała drugą część do szklanki.

- Wypij to i kładź się spać, to ci powinno już pomóc.

Mężczyzna potulnie wykonał polecenie i po piętnastu minutach, kiedy wszelkie horrory w głowie ustąpiły, w ubraniu na kozetce w kuchni smacznie już usnął. Kobieta wyszła na zewnątrz, wprowadziła skuter do komórki z węglem i również położyła się spać.

III

O dwudziestej trzeciej piętnaście w sekretariacie Pałacu Prezydenckiego w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu głośnie rozdzwonił się telefon. Znużona całodniowym trudem do aparatu podeszła szefowa Kancelarii Prezydenta RP. Podniosła słuchawkę telefonu i ciepłym, ale bardzo oficjalnym tonem powiedziała:

- Tak, słucham.

Z drugiej strony usłyszała znany jej głos szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Hieronima Kowalewskiego.

- Dobry wieczór, pani Zosiu, czy prezydent już śpi?

- Tak - odparła, czując, iż stało się coś wyjątkowego.

- To proszę go natychmiast obudzić, gdyż sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego.

Słychać było tylko odgłos kładzonej obok aparatu słuchawki telefonicznej. Po chwili w słuchawce odezwał się dobrze mu znany głos zaspanego prezydenta.

- No co tam Hirek o tej godzinie się urodziło?

- Panie prezydencie – zaczął meldować – w mieście i powiecie radomskim nastąpił gigantyczny atak terrorystyczny, z jakim jeszcze nigdy nie mieliśmy do czynienia. Bardzo proszę, aby pan wraz z małżonką, najbliższym otoczeniem i ochroną udali się bezzwłocznie do bunkra atomowego pod twierdzą Modlin.

- Czy są jakieś straty w ludziach? – zareagował na tę wiadomość prezydent, konstytucyjny zwierzchnik sił zbrojnych.

- Dokładnych danych jeszcze nie mam, ale ze szczątków informacji, które dotąd do mnie dotarły, wiem, że straty w ludziach sięgają prawie sto procent. Mamy do czynienia z hekatombą ofiar. W mieście nic nie funkcjonuje.

- Zarządzam alarm terrorystyczny pierwszego stopnia. Za pół godziny wszyscy szefowie służb zameldują się w bunkrze w Modlinie.

Szef ABW usłyszał tylko dźwięk odkładanej słuchawki i już do siebie powiedział: – Rozkaz, panie prezydencie.

Kilometr pod powierzchnią ziemi pod starą twierdzą Modlin życie jak na tak szczególny obiekt toczyło się tak leniwie, jak w urzędzie pocztowym gdzieś w sercu Bieszczad. Normalne utrzymywanie bunkra we właściwym stanie na czas zagrożenia atomowego. Teraz jednak nagle czerwone lampy podwieszone w rogach każdego

pomieszczenia zaczęły się świecić i gasnąć oraz trzykrotnie zawyła syrena dźwiękiem wwiercającym się w głowę niczym świder.

Każdy z pracowników pobladł, gdyż doskonale wiedział, iż jest to sygnał najwyższego zagrożenia atomowego. Zasiedli przy swoich stanowiskach, czekając jak żołnierze doborowej jednostki komandosów na dalszy rozwój wypadków. Po chwili do ogromnego pomieszczenia sto na sto dwadzieścia metrów, wysokiego na dwa naście, ze ścianami wyłożonymi wielkimi telebimami, pomieszczenia naszpikowanego najnowocześniejszymi komputerami i super tajną elektroniką, wraz z małżonką i w asyście ochrony wszedł z zatroskaną miną pierwszy obywatel RP.

Generał armii mocnym, grubym, wręcz dudniącym w uszach głosem powiedział:

– Baczość! Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Wszyscy, jak dobrze wyszkolone wojsko, wstali i dopiero kiedy prezydent dał znak głową, usiedli. Na miejscu znajdowali się już wszyscy generałowie, premier i szefowie podległych mu służb. Generał armii stanął naprzeciwko, zasalutował i po żołniersku chciał zacząć meldować.

– W porządku, Marian – spokojnym opanowanym głosem powiedział, unosząc dłoń do góry, czyli rezygnując

z oficjalnego powitania w żargonie wojskowym. – Mów lepiej, co się stało – niecierpliwił się prezydent.

– Włączyć telebim piąty – generał wydał komendę swoim podwładnym.

Po chwili na ogromnym ekranie ukazał się Radom i okolice, nad którymi unosiła się ciemnogrnatowa chmura nie przypominająca niczego, co do tej pory widziano.

– Czyżby to był atak bronią chemiczną? Czy też tak myślisz Marian?

Generał wzruszył ramionami i żołnierskim tonem oznajmił:

– Gdyby tak było, to przy dzisiejszym wietrze około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę ta chmura przemieszczałaby się w kierunku Warszawy, a jak pan sam widzi, ona stoi w miejscu i ani nie drgnie.

– Broń biologiczna? – zadał kolejne pytanie prezydent, z góry znając na nie odpowiedź.

– Z całym szacunkiem, ale działałoby się tak samo.

– Przecież wiem, mówię tylko sam do siebie – rzucił podirytowany dziwnym zjawiskiem prezydent.

W bunkrze zapanowała absolutna cisza. Nawet dotąd wygadany i zawsze uśmiechnięty premier, widząc obraz na telebimie, miał taką minę, jakby przerwano mu bardzo ważne posiedzenie w toalecie.

– Więc cóż to u licha jest? – wyrzucił z siebie prezydent.

General armii kontynuował:

- Przed godziną wysłałem tam nasze cztery zastępy od broni chemicznej w pełnym oporządzeniu, aby pobrali próbki, ale jak tylko przekroczyli granicę powiatu radomskiego, straciliśmy z nimi łączność.

- To może ta chmura zakłóca łączność?

c Do dzisiaj panie prezydencie w całej swojej wojskowej służbie nie spotkałem takiej chmury, która całkowicie na tak krótkim i równym odcinku uniemożliwiłaby całkowicie łączność.

- A ty co o tym myślisz, Adam? - zwrócił się do premiera.

Premier wpatrzony w ekran próbował coś sensownego wymyślić, ale w tej sytuacji każda jego odpowiedź wydawała mu się beznadziejnie głupia, w końcu stwierdził:

- Może to jakieś nieznane nam zjawisko związane z dziurą ozonową? No bo cóż by innego?

- Marian - zwrócił się do generała armii prezydent.

- Natychmiast otoczyć szczelnie kordonem wojska cały powiat radomski, tylko niech tam żaden z tych twoich żołnierzy nie zgrywa bohatera i nie próbuje go przekroczyć, dość już mamy ofiar.

- Hieronim, z mojego rozkazu ze względu na bezpieczeństwo narodowe państwa założyć wszystkim mediom knebel na tę informację, na to, co się tam wydarzyło, aby

nie powstała panika. W telewizji ogłosić tylko, iż prowadzone są tam jedynie manewry wojskowe.

Do pomieszczenia wszedł dowódca wojsk chemicznych. Zasalutował prezydentowi i zameldował:

– Panie prezydencie, mamy próbkę gazu znad Radomia. Właśnie chemicy w laboratorium wzięli się do roboty, aby zobaczyć, z jakim rodzajem gazu bojowego mamy do czynienia. Zbieranie i archiwizowanie codziennych danych z Polski, Europy i świata teraz zapewne da nam odpowiedź, z czym mamy do czynienia.

– A więc już coś dysponujemy? – dumnie zza pleców oznajmił premier.

– Na razie to mamy około trzysta tysięcy trupów i pozostaje nam się modlić, aby ta chmura nadal stała w jednym miejscu.

Prezydent zaczął nerwowo chodzić po sali. Wszyscy wlepili wzrok w głowę państwa i czekali na rozkazy.

– Nie ma rady, trzeba powiadomić prezydenta Stanów Zjednoczonych, Rosji i szefa NATO.

– Adam! – rzucił sam po żołniersku.

– Tak!

– Zajmij się tym natychmiast.

– Nie lepiej poczekać na wynik z laboratorium? – odparł zdziwiony premier, gdyż sam postąpiłby inaczej.

- Zajmij się tym natychmiast – powtórzył groźnym głosem, nie znoszącym sprzeciwu. – Przypominam ci, że od parunastu godzin jesteśmy z kimś w stanie wojny i moje słowo dla każdego obywatela Polski od tej pory jest rozkazem. Dla ciebie też! Zrozumiałeś?

- Oczywiście, panie prezydencie – premier obrócił się i po paru sekundach nie było go już w sali centrum dowodzenia.

Mina prezydenta wyglądała coraz bardziej niewyraźnie. Chodził pomiędzy stanowiskami z najnowocześniejszą aparaturą komputerową i matowym wzrokiem przyglądał się pracy swoich podwładnych. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, i z każdą minutą coraz wyraźniej czuł odpowiedzialność, jaka na nim spoczywa. Do centrum dowodzenia wraz z wybitnym chemikiem profesorem Zakrzewskim, pracującym tylko dla wojska, wszedł dowódca wojsk chemicznych.

- Macie już coś? – rzucił prezydent przez całą salę.

- Tak jest – zameldował podwładny.

- Mów, czekam na dobre wiadomości.

- To może profesor panu prezydentowi to zrelacjonuje?

- Oby miał pan dobre wiadomości – burknął do siebie.

Profesor stanął jakieś dwa metry od głowy państwa i nie patrząc mu w oczy, niemrawo zaczął:

- Panie prezydencie, badaliśmy tę ciemnogrnatową chmurę wszystkimi znanymi nam sposobami.

- Dalej, dalej - ponaglał go prezydent.

- Wiem, że to, co teraz powiem, zabrzmii niewiarygodnie, a wręcz głupio, ale ta chmura nie jest ani materią, ani gazem.

- To czym u licha jest? - zagrmiał coraz bardziej poirytowany.

- I materia i gaz składają się z cząsteczek. Różnych, ale cząsteczek. A ta chmura jest próżnią.

- Nic z tego nie rozumiem - krzyknął prezydent, czując jak grunt ucieka mu spod nóg.

- To jest tak, jakby na przykład do metrowej szklanej rurki wpuścić powietrze, a następnie je z niej wyssać. Wówczas w tej szklanej rurce pozostanie właśnie próżnia, czyli nic.

- Czyli chce mi pan powiedzieć, że zaatakowała nas próżnia, czyli nic? A może to nam się śni? Tak!? - wrzasnął coraz mniej opanowany prezydent.

Profesor opuścił nisko głowę, doskonale zdając sobie sprawę z sytuacji i tylko dodał:

- Ja tylko relacjonuję panu prezydentowi wyniki badań i niczego więcej nie śmiałbym sugerować.

Do centrum dowodzenia wszedł skruszony premier. Podeszedł do swojego szefa i starając się zachować twarz, powiedział:

- Prezydent Joplin, prezydent Zytkin i główne dowództwo NATO już do nas wylatują.

Do prezydenta podeszedł generał armii i delikatnie zasugerował:

- Pod Radomiem przechodzi przewód światłowodowy. Nasi informatycy mogą przez niego wejść do monitoringu miejskiego i tym sposobem zobaczymy, co się dzieje przynajmniej na głównych ulicach miasta.

- No to na co czekasz? Bierz tych swoich geniuszy i do roboty.

Generał zasalutował głowie państwa i w centrum dowodzenia od tej pory słycać było tylko uderzanie palcami informatyków o ponad sto klawiatur komputerowych.

- Idę do swojego pokoju. Jak coś będziecie już mieli, to natychmiast meldować - oznajmił bardzo kategorycznie prezydent i wyszedł.

Po upływie niespełna godziny jeden z informatyków na całe centrum dowodzenia krzyknął:

- Mam. Wszedłem do monitoringu miejskiego.

Pracownicy zaczęli przekazywać obraz na telebimy i kiedy złożyli je już w jedną całość, generał armii szybko ruszył do kwatery prezydenta. Po chwili głowa państwa,

stojąc i podpierając ręką brodę, patrzyła na obraz łądząco przypominający atak bronią biologiczną. Leżące trupy na ulicach, osmalone drzewa i trawa robiły na nim przygnębiające wrażenie. Informatycy prześwietlali kolejne ulice, aż w końcu doszli do placu Konstytucji, na którym tuż przy aptece siedział sobie zadowolony stwór przypominający tyranozaura.

- A to co? - Nikt nie miał śmiałości odpowiedzieć szefowi. - Przecież to się rusza, czyli żyje. Więc o co tu chodzi? Zaatakował nas jakiś potwór sprzed ponad sześćdziesięciu milionów lat?

Generał armii Zalewski zdobył się w końcu na odwagę i powiedział:

- Proszę, niech pan prezydent zwróci uwagę, że ta ciemnogramatowa chmura wydobywa się z pyska tego potwora.

- Cofnijcie i pokażcie, co działo się wcześniej.

Informatycy wykonali polecenie, ale to, co zobaczyli, przeszło ich zdolność pojmowania rzeczywistości.

- Mała żmija wypełzająca ze studzienki kanalizacyjnej zamienia się w byka, a nieco później w to dziwne monstrum - komentował prezydent. - Potem jednym podmuchem z młodych ludzi robi marmoladę, a jakiegoś drobnego pijaczka, który chce go pogłaskać, puszcza wolno. Czy wy widzicie to samo, czy ja zwariowałem?